



Konrad Piskata, Leon Popek, Tomasz Potkaj,
KRES. Wołyń – historie dzieci ocalonych z pogromu,
 Wydawnictwo Fabuła Fraza, Warszawa 2016, 272 s.

Kinga Hałacińska

Głos dzieci Wołynia

„Mama [...] Ona wciąż się boi. Szukałaby pretekstu, aby się z wami nie spotkać. Dlatego nic jej nie powiedziałam” – mówi Anna z Pustkowa Żurawskiego do autorów tej książki.

Jej matka, Janina Sąsiadowska, pochodzi z Wołynia. O tym, co tam przeżyła w czasie wojny, nie mówiła nawet najbliższym. Jednak gdy od niespodziewanych gości dostała listy, które jako trzynastoletnia dziewczynka wysłała do rodziców w Stryju, nagle wyrzuciła z siebie: „Pamiętam dziewczynkę, która wyskoczyła z okna. Dobrze ją pamiętam”. Widać więc, że całe życie czekała na chwilę, gdy będzie mogła opowiedzieć o swym strachu i cierpieniu.

Wiosną 1944 r. jej ojciec Józef zaczął kopać tunel z domu do sadu. „Tylko musicie potem umieć ukryć się w polu” – tłumaczył dzieciom. „Tato, a te choineczki będą dobre? Tam przycupniemy!” – pytały Janka i Staś. Matka przygotowała im plecaki rantunkowe. W każdym były ciepłe rzeczy i trochę jedzenia. Wiedzieli, że ten dzień,

kiedy „bandery” podpalił ich dom i będą po kolei zabijać, przyjdzie nieuchronnie. Ale nie mieli dokąd uciekać. Tam, w Sokółowie, był ich cały świat, wszystko, co mieli. Tego dnia, rankiem, przyszła do nich przyjacielnica Ukrainka. Pytała o garnek, pościel, nalegała. Mówiła, że dla nich to już rzeczy bez wartości. Matka, Zuzanna Sąsiadowska, zrozumiała, co chce jej przez to powiedzieć. Wzięła dzieci i uciekła do dworu.

Nie wszyscy mieli takie szczęście. Małych Furyków Ukraińcy położyli na podłodze. Ojcu strzelili w głowę i wbili nóż w serce. Dzieci zostawili, ale wiedziały, że spalą się żywcem. Słychać było krzyki konających sąsiadów. Przerażone, pobiegły w ulewnym deszczu na cmentarz, siedziały do rana przy grobie mamy i babci. Ocalały. Z niedobitkami Polaków pojechały na furmankach do Stryja. Wyłapywano uciekinierów z rzezi – mieli szczęście. Jedenastoletnia wówczas Ela Furyk do dziś nie wie, jak dała radę pochować ojca. Miał



Janina Sądziowska pokazuje swoje ostatnie zdjęcie z Kresów. Mieszka w Pustkowie Żurawskim niedaleko Wrocławia, wiosna 2016 r.

jej pomóc stryjek Janki Sądziowskiej, ale uciekł, gdy usłyszał stukot kół. Chwilę potem nie żył. Zepchnęła więc trumnę do jamy sama i przysypała ziemią.

Takich dzieci, jak te z Sokołowa, było wówczas na Wołyniu wiele tysięcy. Stały się najmłodszymi ofiarami tajnej dyrektywy płk. Dmytra Klaczkiwskiego, szefa sztabu UPA. W czerwcu 1943 r. napisał do swoich dowódców: „powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. [...] Leśne wsie oraz wioski położone obok leśnych masywów powinny zniknąć z powierzchni ziemi”. Tę „antypolską akcję”, jak nazywali ją Ukraińcy,

rozpoczęto 9 lutego 1943 r. atakiem na polską kolonię Parośla w powiecie sarnieńskim. Ludobójstwo objęło województwa wołyńskie, stanisławowskie, tarnopolskie i lwowskie. Zakończyło się 18 maja 1945 r. w Brodycy w województwie lubelskim.

Dzisiaj wiemy, że na Kresach zginęło ponad 130 tys. Polaków (na samym Wołyniu 60 tys.). Banderowcy zadawali ofiarom śmierć na 135 udokumentowanych sposobów, a najłagodniejsza była niewątpliwie śmierć od kuli.

„Małe dzieci z ustami przeciętymi od ucha do ucha. Kobiety wbijane na pał, mężczyźni rozrywani końmi. Odcinanie

po kolei wszystkich członków przed zadaniem śmierci” – relacjonuje ks. Józef Kuczyński, proboszcz w Dederkałach (pow. krzemieniecki).

W Stryju, dokąd uciekli Sąsiadowscy, były głód, bezdomność, strach. Pół miliona uciekających z Wołynia Polaków stało się z dnia na dzień wegetującymi nędzarami. Gdy wracali do swoich gospodarstw, czekała na nich śmierć. Zrozpaczony Józef Sąsiadowski widząc, że dzieci słabną, postanowił oddać je Irenie Sandeckiej z Rady Głównej Opiekuńczej, jedynej organizacji charytatywnej, na której istnienie pozwolili Niemcy. Wraz z koleżankami, dawnymi harcerkami, zebrała dzieci koczujące na ulicach Krzemieńca i szczęśliwie wywiozła do Krakowa w Generalnej Guberni. Wróciła po kolejną turę. Dzięki niej 360 dzieci z Wołynia trafiło do zamku w Pieskowej Skale, gdzie urządzono dla nich sierociniec. Dyrektorką placówki została etnograf Jadwiga Klimaszewska, żołnierz AK.

Pod jej opieką dzieci czuły się bezpieczne. W sierocińcu nie było przemocy, kradły wyłącznie jedzenie. Nie między sobą, chodziły na szaber na pole, do sadu. Dyrektorka robiła, co mogła, by nie pomarły z głodu. Posłała je też do szkoły, jeździły na wycieczki. Ale dzieci po nocach krzyczały, nie mogły spać. Bały się snów, płakały za rodzicami. Emilia Popowicz ze Stanisławowa dopiero w sierocińcu dowiedziała się o strasznych przeżyciach sąsiadek z innych łóżek. Mówiło się o dziewczynkach, które miały za ojca Ukraińca. Zakochał się

ponownie, a żona Polka była przeszkodą w nowym życiu. Zabrał ją w pole, wyciągnął siekierę i zabił. Dzieci uratowała sąsiadka i od niej trafiły do ochronki. Aniela z łóżka obok opowiadała jej, że banderowcy przyszli po nich w nocy. Babcia nakryła ją kołdrą po samą brodę i położyła się na niej tak, że z trudem oddychała. Po chwili czuła, że spłynęła po niej ciepła krew, ale nie poruszyła się. Dopiero gdy dom płonął, wydostała się spod martwej babci i uciekła do sąsiadów. „Siedź do rana, potem uciekaj! Bo nas obie banderowcy utłuką” – prosiła Ukrainka, chowając ją w ziemiance.

Dzieci z Pieskowej Skąły pisały do domu listy. Prosiły kolejarzy, by wieźli je do Brodów, Stryja, Krzemieńca, Stanisławowa, Zielonego Dębu, Rudy Brodzkiej. Nie wszystkie dotarły. 129 zawrócono z linii frontu, inne w ogóle nie zostały wysłane. Nie pisały o głodzie, chorobach i trudnych warunkach, w jakich żyją. Nie chciały martwić rodziców. Prosiły o znaczki i choćby o jedno słowo zwrotne, że ktoś z rodziny przeżył.

„Napiszcie mi jak uwas czy pałą czy mordują i jak zdaleko front napiszcie mi tatusiu ti pieniondzy ja za nich nic nie kupowałem i mie piẽniondz nie potszebno” – pisze Józef Dworkiewicz do Brodów.

„Mamusi!!! W pierwszych słowach mojego listu »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«. Dowiaduje się czy mamusia jest zdrowa. Bo mnie się śniło, że mamusia umierała. Więc ja byłam w dużym smutku” – zwraca się dziecko do Marii Kałużnej.

„Pochwalony Jezus Chrystus! Kochani rodzice” – zaczyna swój list Janka Sąsiadowska. Gdy stawia litery na papierze, jeszcze nie wie, że ojciec nie żyje. W sierpniu 1944 r. wrócił ze Stryja do Sokołowa, bo domu nie było, ale wciąż było pole. Zabił go banderowski granat.

Listy, pocztówki, dziś pęk pożółkłych papierów z niemieckimi stemplami, trzymała przez 60 lat w pudełku po butach dawna dyrektorka Jadwiga Klimaszewska. Po wojnie została profesorem etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim. We wrześniu 2000 r. zabrała swoją przyjaciółkę Danutę Trylską-Siekańską na spotkanie z trzydziestoma byłymi wychowankami. Nigdy nie założyła rodziny, a oni mówili o niej „nasza mama”. Sześć lat później, po śmierci pani Jadwigi, pani Danuta przekazała je dr. Leonowi Popkowi. „Zajmował się Wołyniem. Zapytałam, czy byłby zainteresowany. Kiedy powiedział, że tak, po prostu mu je wysłałam” – mówi. Przeleżały u niego kolejnych dziesięć lat. Jakby bał się zajrzeć do środka kopert. Dziś szaro-brązowe kartki zapisane rączkami dzieci są w archiwum lubelskiego IPN.

Leon Popek od lat zajmuje się badaniem zbrodni na Wołyniu. Jego mama uratowała się z Woli Ostrowieckiej. Mieszkańców zgromadzono tam w drewnianej szkole. Ludzi mordowano pałkami, siekierami i młotkami do uboju bydła. Takimi, które zostawiają w czaszce dziwny trójkątny kształt. Potem szkołę podpalono. Zamordowano wtedy 628 osób. W tym

220 dzieci. Krzyżyk, który miał przy sobie dziadek Leona Popka, odnaleziono we wspólnej mogile w 1992 r. Leżeli tam ściśnięci razem, kobiety trzymały dzieci. Tak umarli.

W końcu zrozumiał, że historii dzieci z listów nie odtworzy i nie spisze sam. Poprosił o pomoc dziennikarzy Tomasza Potkaja i Konrada Piskałę. „Musimy się spieszyć” – powiedział. Rozjechali się po kraju w poszukiwaniu autorów tych listów. Wielu drzwi im nie otworzono. Ci, których szukali, już umarli. Czasami zabrakło paru miesięcy, a może nawet kilku dni. Ale udało im się spisać losy kilku rodzin. Historie smutne, pełne trudnych relacji z partnerami, dziećmi. Są samobójstwa, wyobcowanie – skutki ukrywanej przed wszystkimi traumy. „Bo nam, dzieciom z Pieskowej Skały i z Czerniejewa, wydaje się, że jesteśmy zimne. Kiedy się ma 15 lat, to się bardzo potrzebuje ojca czy matki. Mnie Ukraińcy zabrali ojca i noszę tę tragedię przez całe życie. Kiedyś byliśmy w Powidzu na koloniach. Tam zobaczyłam, z jaką czułością matka przytula swoje dziecko. Tak bardzo było mi żal. Tak strasznie wtedy płakałam, że jestem sama. Bo mnie nikt nie przytulał” – mówi Maria Suder, jedno z odnalezionych dzieci. „Kiedyś mi córki powiedziały, że nie potrafiłam im okazać tej miłości matczynej. To taka moja zadra, bo mnie nikt tego nie nauczył” – mówi ze smutkiem Emilia Popowicz. Jedni z nich chcą zapomnieć o Wołyniu, drudzy przeciwnie, jadą na Ukrainę, by

odszukać groby swoich bliskich. I choć są mile witani, jednak nikt im przy sąsiadach nie wskaże, gdzie szukać ciał. Polskie wioski, których już nie ma, groby, które porosła trawa. Dziennikarze z Polski udają się w podróż do krainy dzieciństwa dzieci z Pieskowej Skały. Zwiedzają izby

pamięci, gdzie od niedawna upamiętniany jest Stepan Bandera. Rozmawiają z ludźmi, pytają o przeszłość. „Pamiętam ich – odpowiada im Gala (Halina) Bakun w Rudzie Brodzkiej, zapytana o rodzinę Łabaszczuków. – Starszy dostał pięć noży. Drugi trzy. Hania też”. ■



Justyna Błaziejowska, *Harcerską drogą do niepodległości. Od „Czarnej Jedyńskiej” do Komitetu Obrony Robotników. Nieznana historia KOR-u i KSS „KOR”*, Arcana, Kraków 2016, 656 s.

Cecylia Kuta

„Czarna Jedyńska” i niezależna historia KOR-u

„Ta książka nie jest tylko o powstaniu Komitetu Obrony Robotników. To pierwsza taka książka, jaką widziałem w ciągu ostatnich lat, która dotyczy kilkudziesięciu osób, wtedy niestety nie zaangażowanych i działających na rzecz niepodległości Polski. Dzisiaj wielu spośród nich odgrywa istotną rolę w polskiej polityce i w polskich władzach. [...] To jest książka o drużynie harcerskiej, to jest książka o harcerstwie polskim, to jest książka o tym, co nas wychowało po to, abyśmy mogli służyć Polsce i jej niepodległości”

– mówił Antoni Macierewicz podczas uroczystej premiery książki Justyny Błaziejowskiej *Harcerską drogą do niepodległości. Od „Czarnej Jedyńskiej” do Komitetu Obrony Robotników. Nieznana historia KOR-u i KSS „KOR”*, która miała miejsce 22 września 2016 r. w Pałacu Prymasowskim w Warszawie. Trudno nie zgodzić się z tą wypowiedzą, bo ona dokładnie ilustruje charakter publikacji. Wbrew pierwszej części tytułu nie jest to monografia 1. Warszawskiej Drużyny Harcerzy im. Romualda Traugutta, czyli „Czarnej Jedyńskiej”. Nie jest to również kolejna książ-